

SOMA

Środek nocy - środek według moich kryteriów - zastał mnie siedzącego na łóżku. Chaotyczny, rozszalały galop mego serca zdawał się wypełniać ściany pokoju dudniącym echem. Dotknąłem żeber, niepewny czy zdołają przetrzymać tak wściekły atak swego więźnia. W ciemności świeciła słabo tarcza zegara. Środek nocy. Czyste szaleństwo.

Sen miałem twardy, ale pusty, pozbawiony zupełnie treści niczym długie szeregi zer w systemie komputera. Nie śniło mi się nic. Ani tej nocy, ani poprzedniej, ani od jakiegoś już czasu. A jednak opętańczy łomot serca był w stanie zerwać mnie na nogi. Powoli, z rozmysłem odmierzałem głębokie wdechy, by uspokoić oddech i wyrównać puls. Nic z tego. Akcja serca zwariowała na dobre, mięsień szamotał się jak szalony w seriach nierównych uderzeń, bez rymu i rytmu, bez porządku, z maniacką jednak zaciekłością i siłą, jakby rządziła nim wewnętrzna, zbuntowana świadomość. I na to nie miałem rady.

Nie miałem też na co czekać. Sprawnie ubrałem się w przypadkowe rzeczy z szafy i krzeseł i wyszedłem.

Podwórko powitało mnie chłodem i mgłą. Szedłem szybko, wsłuchany w uspokajający się tętent serca. Powietrze, zupełnie znienacka, przybrało zapach taniego wina - choć mógł to być równie dobrze spirytus i landrynki - ale ja ledwie to dostrzegłem. Nie zauważyłem też, kiedy puls całkowicie się unormował. Moje myśli były bowiem w dalekiej podróży, tłoczyły się coraz tłumniej i natarczywiej, uparcie powracały do początku całej tej historii...

Otóż przed drzwiami mego domu znalazłem szarą kopertę.

Przed drzwiami domu znalazłem szarą kopertę.

W zasadzie nie pamiętam szczegółów takich jak godzina, czy dzień tygodnia, a raczej pamiętam mgliście i mętnie, jak zresztą wszystkie rzeczy z nieodległej nawet przeszłości, na których moja świadomość - koniecznie w trybie aktywnej pracy - nie uznała za właściwe przykleić wielkiej, czerwonej etykiety: „WAŻNE” i posłać do odpowiedniej przegródki aminokwasowej bazy danych; z drugiej jednak strony w nieokreślony sposób wiem, iż było wcześniej - nawet wariacko wcześniej, można rzec, gdyż nie mam zwyczaju podnosić się z łóżka przed jedenastą. Mógł być więc i wschód słońca, scenerii także nie mogę sobie przypomnieć, w ogóle mam fatalną pamięć do obrazów. Jedyne, co w niej zostało, to szary kolor koperty, przynajmniej taki mi się wtedy wydawał.

Bez zastanowienia podszedłem i podniosłem ją, a potem zacząłem rozpakowywać. Już nie bez zastanowienia. Pod palcami poczułem bowiem natychmiast kontury wiedokasety i momentalnie lawina skojarzeń runęła przez mój odrętwiały jeszcze umysł. Najpierw:

- No tak, jakiś popieprzony fan Lyncha.

A potem następne, piętrowo i zupełnie odruchowo. Właściwie dlaczego Lynch? Dlaczego akurat on pierwszy przemknął mi przez głowę? Przecież ten widok wywołać mógł setki skojarzeń. Że szary kolor symbolizuje mądrość. Że listonosz się pomylił. Że kaseta zawiera bogaty materiał filmowy ilustrujący erotyczne wyczyny jakiegoś wyrafinowanego ekshibicjonisty. Że nie zawiera taśmy, tylko ładunek C-4. A jednak to Lynch włożył mi w świadomość i, apriorycznie, uznałem słuszność tego założenia.

Próżna jest walka z ciekawością. Kawa i śniadanie nie doczekały się swej kolejki w rozkładzie dnia, gdyż kroki moje wiodły od progu wprost w stronę osobistego zestawu Multimedia Set. Kawa i śniadanie były dla ciekawości żadną konkurencją. Odpaliłem monitor. Magnetowid włączył się sam, gdy znalazła się w nim kaseta. Kciuk automatycznie przeskoczył na przycisk Play. Spojrzałem na niego jeszcze raz. Rzeczywiście, byłem zbyt pochopny. Powinienem ogólnie bardziej uważać. Lecz...

Tak, złapałem się, byłem cholernie ciekawy, co zawiera kaseta.

Wcisnąłem go.

Od razu rozpoznałem charakterystyczny pisk. Westchnąłem bardzo ciężko.

Pacnąłem Stop i podszedłem do telefonu.

- Halo.

- Halo?

- Oo, Pawka, znakomicie, wiesz kiedy dzwonić...

- Sawcio? Słuchaj... - zamarłem. W ogóle nie zauważył mojej ironii! - Sawcio, bądź u mnie natychmiast.

Wcisnąłem przycisk z siódmką i szarpnąłem drzwi, gdy tylko te zawarczały charakterystycznym sygnałem zamka domofonu; już byłem w środku, już przeskakiwałem pierwsze stopnie drewnianych schodów.

Nagle zwolniłem złapany na zbytnim pośpiechu. Poza tym, czekała mnie czteropiętrowa wspinaczka na sam szczyt rudery, którą Pawka mógł i powinien zamienić na cokolwiek innego. Nie robił tego, jak mówił dla oszczędności. Był to nonsens. Pawka po prostu przyzwyczał się okrutnie, m.in. za nic nie zrezygnowałby z ulubionej rozrywki rzucania suchym makaronem w grasujące na podwórku koty.

„To nie jest rozmowa na telefon” - obijał mi się po głowie jego głos, inny niż zazwyczaj, sztywniejszy. Owszem, słyszałem te słowa, słyszałem nieraz. Opowiadałem nieodmiennie: „Czyli z nami koniec”, była to bardzo trafna odpowiedź. Nie tym razem jednak. Pawka nie był kobietą.

„Stopień ważności: dziesięć”. No tak, głupawa dziesiętna skala porównawcza, typowe dla Pawki. Ale... dziesięć na dziesięć. To już coś znaczyło. Dziesięć na dziesięć z pisarzy mógł mieć tylko Lem, z kobiet - najpiękniejsza (znaczy: Naomi Campbell - no cóż, *de gustis non costam disputandum*), z win oryginalne Egri, zaś ze spraw: ważna śmiertelnie.

Może dlatego tak nerwowo napałem na klamkę.

Nie od razu uwierzyłem własnym oczom, a przecież od urodzenia nie spotkały mnie kłopoty z optyką. Zobaczyłem talerz. Na nim kanapkę, na niej szynkę i pomidora, dalej rękę Pawki i jego samego, jasnowłosego dwumetrowca o długich kończynach: -Wejdz, wejdz, usiądź, posil się.

Popatrzyłem na niego jak na karalucha.

- W dupę się kopnij, wiesz? Po kanapki do ciebie przyszedłem?!

- Spoko. Siadaj. Rzecz jest ważna i trzeba powoli...

Chwila przerwy. Głębszy oddech.

- Zniknęła moja soma. Ponadto...

- Co!?

- Soma. Nie ma.

- Gdzie ją miałeś?

- W małym pokoju, w skrzyneczce. Otwieram dzisiaj skrzyneczkę, somy nie ma. Zauważ: wczoraj wieczorem było dziesięć działek. Było. A nie ruszałem się z pieprzonego domu.

- Pokaż.

Idąc za Pawką przedpokojem, który względem odrapanej klatki schodowej stanowił nowy wspaniały świat, bardzo mocno usiłowałem cokolwiek zrozumieć.

Weszliśmy do małego pokoju i Pawka otworzył kluczem niewielką, pseudoartystycznie rzeźbioną w ciemnym drewnie skrzyneczkę. Była pusta. Na samym dnie dostrzegłem bardzo, bardzo małą drobinę, która mogła być somą, mogła też być bladym pyłkiem kurzu.

- Okna - powiedziałem powoli - sprawdzałeś okna?

- Sprawdzałem wszystko. Nigdzie żadnych śladów... poza jednym. Nie dałeś mi skończyć. Widzisz, ja nawet bym się nie zorientował... Z samego rana dostałem imeila, cholernie dziwnego. Anonim. Treść: S.O.M.A. To mnie właśnie tknęło, jakby mnie kto dziabnął szpikulcem. Nie mam pojęcia, kto mógł znać prawdziwą nazwę. Nie mam pojęcia, kto mógł znać mój adres.

- Now, that reminds me... Widzisz, Pawka, zdaje się, że ja też mam ci coś do zakomunikowania.

Tego pięknego przedpołudnia praca Pawki poszła na marne. Dobrze wyglądające kanapki z szynką i pomidorem, nie tknięte przez nas, prawdopodobnie wyschły na stole w kuchni, gdy tylko bowiem wspomniałem kasotę, w trzydzieści sekund znaleźliśmy się na dole przy samochodzie. Białe Chrysler Pawki sunął w stronę mego domu przekraczając prędkość i przepisy (takim wozom się wybacza), w środku zaś panowało milczenie.

A w mojej głowie myśli miały się doprowadzając do rozchwiania pulsu i skoku serca. Coś się działo, czuliśmy to nazbyt wyraźnie, ale co? Owszem, niewykluczone, iż klasyczne *detective stories* oddziaływały na mnie na tyle mocno, bym podświadomie marzył o znalezieniu się nagle w samym środku scenariusza jednej z nich. Lecz jeśli nawet - wyobraźnia zawsze osadzała mnie w roli pocziwego, stylizowanego Sherlocka, który z fajką, szkiełkiem i byстрыm okiem porusza się tropem przyzwoitej, linearnie skonstruowanej zagadki. Tutaj punkty zaczepienia waliły się jeden za drugim, zamiast janych powiązań pośrodku każdego rozpoczętego toku wnioskowania miałem wielką logiczną lukę, zamiast liniowej fabuły beładne kłębowisko pytańników. Wyglądało na to, że po dwudziestu paru latach (w miarę) spokojnego życia rzeczywistość skreśliła nagle w nieznanym kierunku i zaczynała nabierać przyspieszenia.

Musiałem uspokoić się, posegregować fakty. Zacząć jeszcze raz, wychodząc od podstawowych wiadomości.

Była nas w tym biznesie trójka - troje świeżo upieczonych absolwentów UNC w T.: Pawka i ja, kumple z filologii, i Marta. Ona była osi. Zagraniczne stypendia otworzyły jej masę kontaktów z podobnymi jej trzepniętymi geniuszami biochemii: stamtąd pochodziła soma. Byliśmy jedyni na kraj, jedni z nielicznych w Europie. Na razie wciąż trwaliśmy na długim etapie testów - musieliśmy mieć absolutną, doświadczalnie utwierdzoną pewność co do działania i zerowości efektów ubocznych. Pawka miał czterech klientów, ja trzech,

razem siedem osób, o których wiedzieliśmy wystarczająco dużo, by im zaufać: pewnych, wypłacalnych i biorących na naszych warunkach, a więc samotnie i bez rozgłosu. Póki co, wszystko było w porządku.

Bo też i soma - to było coś wyjątkowego. Nic z zacofanego *speeda*, prymitywnego *booster*a, czy chamskich wyrobów kwasopodobnych. Soma była arystokracją wysoko ponad całym tym dopalaczowym i psychotropowym bagnem. Ciału dawała odjazd, albo łagodny odpływ raczej, wręcz podobny w objawach do zapaści; mózg dostawał kopa, bodziec przerzucał go w stan euforycznego myślotoku, który następnie za sprawą jakiegoś delikatnego sterownika wylewał się na pola czystej, pozytywnej, umiarkowanej interaktywnej (!) imaginacji. (Pod)świadomość zonglowała fragmencikami rzeczywistości (i fikcji), budując z nich fantazyjne mosty dla śmigłej jak strzała myśli. Soma dokonywała cudu kreacji: tworzyła w głowie najlepsze na świecie studio VR, pełne superrealistycznej, szalonej baśni. A wszystko to bez odkładania się w organizmie, czy ponarkotycznych dołów, jedynie relaksacja i orzeźwienie. Soma była wspaniała.

Ale, nie da się ukryć, sprzedawaliśmy jako LSD. Nie chcieliśmy, nie mogliśmy prowokować sensacji nową nazwą. Oczywiście różnica była zbyt ogromna, co tłumaczyliśmy nowatorską odmianą kwasu. Tak czy inaczej nazwa LSD wlokła się za sprawą i nie można było wykluczyć, iż wpadła komuś w ucho. Wokół *speeda*, *scoona*, *trankwili* i tak dalej skakały drobne leszcze, ale już poważniejsza chemia organizowała się wcale dobrze: tu zdarzały się nieźle skoordynowane akcje typu wrobień, dezorganizujących fałszywych alarmów, aż do podpalen. To było potencjalne ryzyko. Po pierwsze jednak: nie wierzyłem, iż nasze kameralne grono dostrzeżono i potraktowano jako rywala. Po drugie i najważniejsze, co dyskryminowało wszelkie inne teorie, z niesfornymi klientami i policją na czele, nie pasowały metody. Dziś rano z mieszkania Pawki skradziono dziesięć działek drogocennej somy, zgoda. Ale nie to było istotne. Nie liczył się fakt kradzieży, liczył się sposób, liczyło się idealne wykonanie oraz cała otoczką. Ktokolwiek zrobił nam - tak właśnie pomyślałem, w liczbie mnogiej - ktokolwiek zrobił nam ten numer, wykazał się wiedzą, władzą i środkami pozwalającymi na inne, daleko poważniejsze dla nas w skutkach posunięcia. Była to klasyczna demonstracja siły... Jednak jak długo żyję, nie słyszałem jeszcze o demonstracji siły, która byłaby anonimowa. Jak na razie, znajdowałem jedno spójne wyjaśnienie. Kasetą jest odpowiedzią. Musi nią być.

Pawka depnął mocniej pedał gazu.

Kiedy włączaliśmy kasety, poczułem w żyłach dawkę najczystszej adrenaliny. Siedzieliśmy z Pawką na kanapie już niezdolni udawać dystansu do tego pokręconego splotu okoliczności, który dziś rano poraził nas niespodziewanym uderzeniem. Czekaliśmy na klucz, a unoszące się nad nami niecierpliwość i napięcie groziły skropleniem i rozpetaniem burzy z piorunami. Ekran rozjaśnił się wreszcie - i zaprawdę, miało to dla nas symboliczny wymiar. Przez długą chwilę nasze oczy wpijały się w jasnoszaroniebieską pustkę w niemym, wytężonym oczekiwaniu na pierwszą scenę. Lecz chwila wydłużała się coraz bardziej, a zamiast obrazu powoli przychodziło zrozumienie. Taśma była czysta. Wcisnąłem szybki podgląd, ale Pawka już zaczęła wstrząsać skurcze i w moment później obaj tarzaliśmy się w spazmach chorego śmiechu. Pierwszy podniósł się Pawka. I wyszedł. Nie zdążyłem powiedzieć mu o tym, co znalazłem, a raczej czego nie znalazłem w moim schowku z somą, do którego rzuciłem się by potwierdzić swe najgorsze przypuszczenia.

Czyż muszę dodawać? Telefon Marty nie odpowiadał.

Być może wszystko potoczyłoby się inaczej (jak?). Być może ja zostawiłbym w spokoju całą tę niepojętą historię, ona mnie, a wariactwo ostatnich godzin pozostałoby po prostu monstrualną, pokręconą koincydencją. Być może wypadki wróciłyby na dobre w swą wygodną, wytartą koleinę, gdyby...

Ja lubiłem pić kawę. Rozbite myśli szukały ukojenia przez całe popołudnie, aż wreszcie stało się jasna, że bez kubka kawy nie dam im rady. Z parzenia jej zrobiłem rytuał godny Marlowe'a; opłacało się: przynosił spokój i opanowanie. Kiedy poczułem charakterystyczny aromat doprawdy wszystko inne stało się mi obojętne.

Po piątym łyku w mym umyśle przeskoczyła zapadka. Z trzęsącymi się rękoma rzuciłem się do magnetowidu. Z potraconego stolika upadł talerz i nie potłukł się. „Śmiesznie prosta - jak większość zagadek, kiedy się zna rozwiązanie” - tak mówił cytat z ulubionej książki. Byłem blisko. Teraz ściagałem ducha, ale czułem, że jego gardło zaczynało materializować się pod moimi rękami.

Odchyliłem klapkę wideo i przesunąłem „AUTOMATIC SYSTEM SET” na „ON”, potem zaś Rewind i Play.

Myśląc o tym później doszedłem do wniosku, że nagranie było długie, mogło mieć ze dwadzieścia minut. Wtedy nie zdałem sobie z tego sprawy. Film pochłonął mnie całkowicie.

Od razu rozpoznałem T. w nocy: Bulwar F. oraz leniwą rzekę W. Dopiero po chwili dostrzegłem niewielką postać ledwo widoczną na środku ulicy. Obraz był zamazany i niewyraźny, co niejako automatycznie przypisałem z początku amatorskiemu sprzętowi i filmowaniu; potem jednak dotarło do mnie, iż przyczyna, jakakolwiek była, była inna. Mglista sylwetka i mgła w tle, a wokoło słabo rysujące się i miejscami przeplatające z

ciemnością kontury budynków. Powolny zoom zaczął zbliżać do mnie postać, aż wreszcie przypadkowy odbłask księżycy ukazał profil jej twarzy.

Siedziałem nieporuszony w fotelu. Film zaabsorbował mnie bez reszty i jedyną reakcją mógł być spokój. Znałem tę twarz. Widziałem ją setki razy. Mam w domu lustro.

Postać ruszyła. Po kolei rozpoznawałem i nazywałem ulice, choć było ciemno i tylko krótkie odbłaski światła goszczące czasem na numerach domów pozwalały wyrwać je mrokowi i odczytać pierwsze litery: Brama K., wąska uliczka F., ulica P. - prosto, aż do kościoła, skręt w P.M., dalej Rynek, zakręt i jeszcze raz, teraz już szybkim chodem, aż wreszcie ulica Sz. Postać kroczyła nią powoli i bardzo długo. Wtem przyspieszyła ponownie skręcając w prawo. W zagęstniałej do niemożliwości mgłę zobaczyłem budynek. Obraz urwał się.

Nie zastanawiałem się nad istotą ani celem tego oczywistego fotomontażu. Jedno było pewne: to była wskazówka, na którą czekałem. Wskazówka od kogoś, kto miał mnie w garści. Wybiegłem z domu doznając tego dziwnego wrażenia, jak kiedy wychodzi się z piwnicy klimatycznego, ciemnego jazz-klubu prosto w pełne i niespodziewane światło dnia. Tym razem było na odwrót: nie wiadomo skąd wziął się szybko zapadający zmierzch. Gwałtownie zawahałem się chcąc podejść w stronę taksówek, musiało to wyglądać teatralnie. W kolejnym odruchu jednak ruszyłem pędem ku Staremu Miastu. Kiedy dopadłem do mostu, już było ciemno. Przekroczyłem Bramę K. w wąską uliczkę F., dalej jak na pamięć ulicą P., przy kościele na P.M., Rynkiem i po dwóch zakrętach w Sz. Tu zatrzymała mnie mgła. Musiała zapadać już od dawna, lecz teraz, gdy cała ulica tonęła w powodzi mlecznych tumanów, blade prześwietlanych rzadkim blaskiem, zdałem sobie z niej sprawę. Blokowała widoczność: gdyby nie udało mi się złowić odbłasku na literze Sz. z numeru domu, miałbym wątpliwości, gdzie idę. Przez cały czas narastało we mnie poczucie błędu, pomyłonego szczegółu, coś mi się w filmie nie zgadzało, a gdy skręciłem w końcu w prawo, wiedziałem wreszcie, co.

Tam nie było budynku. W tym miejscu na tej ulicy nie było żadnego budynku.

Mgła osiągnęła namacalną niemal konsystencję. Z desperacją, wbrew pozostałym we mnie jeszcze okrucinom rozsądku, ruszyłem przez nią na oślep.

Dostrzegłem coś, jakby szyld, lecz już byłem w środku. Mgłę zastąpił papierosowo-? dym, obramowania ulic i domów zmieniły się w rysy nieobecnych twarzy. Pomieszczenie było duże, wypełnione w całości przez nierównomiernie rozmieszczone szerokie ławy oraz inne elementy klasycznego wystroju - i było mi nieznane. W panice rozejrzałem się raz jeszcze po kamiennych sklepieniach obcych ścian, obcych sprzętach. To przekraczało moje pojmowanie. Potrzebowałem jak najszybciej punktu orientacyjnego, przebłysku normalności we wszechogarniających oparach obłądu. Znalazłem go przy górującym nad salą barze: rozjarzone logo na kranie od beczki z piwem.

- Raz z kija.

Uniosłem kufel do ust. Znajomy smak zimnego piwa stanowił treść, docierał do mnie poprzez mgłę, opary i całą tę nienormalność przynosząc wybawienie. Pochłonąłem jego zawartość jednym haustem, zamówiłem następny. Na granicy percepcji, jakby kątem oka dostrzegłem, iż w barze przeluźniało się, rozrzedł też jakby papierosowy dym. Wyostrzyły się kontury. Gdy kończyłem drugi kufel (były to, jak zauważyłem, pocziwe a rzadkie dzisiaj „litrówki”), światło stylizowanej lampy nad kontuarem rozbłysło nieco bardziej, pozwalając mi wyłowić dziwne elementy w stroju barmana.

- Jeszcze raz - ale barman nie usłyszał zamówienia. Odwrócił się w stronę zaplecza i z najwyższym trudem wyłowiłem skrawek rozmowy:

- Tak, zdaje się, że tak to nazwali...

- Jeszcze raz z kija proszę - powtórzyłem głośniejsze.

- Soma... pomysłowe! Myślisz, że może odbiegać od standartów?

- Trochę... zapewne. Poszukamy w kartotece.

Jakaś postać w bieli na moment wyjrzała z zaplecza. Barman nie zwracał już na mnie uwagi, wyszedł razem z nią, zostawiając mnie sam na sam z pustym kuflem i kranem.

- Do licha, prosiłem o piwo - krzyknąłem.

Spokojne, brązowe oczy kobiety w białym czepku wpatrywały się we mnie. Głos zamarł we mnie, choć chciałem powtórzyć wezwanie. Rąbek zmienionej nagle i całkowicie senerii obezwładnił na moment moje oczy sterylną bielą. Uświadomiłem sobie własne przerażenie.

- Już macie? - odezwała się wreszcie kobieta, lecz nie do mnie.

- Tak. Nazwa: soma. Wygląd... Objawy... - płynął z tyłu głos. W oczach kobiety dojrzałem odbicie własnych rozszerzających się tęczówek.

(Serce. Moje serce!)

- Łżesz! Nigdy nie braliśmy, sami nigy nie braliśmy! Zniknęło po dziesięć działek!

- Objawy: kontrolowane połowiczne wyłączenie świadomości, stany euforyczne, halucynacje; eksremalnie niestabilna praca serca. Przedawkowanie: możliwość permanen...

Trzasnąłem kuflem o stół i wybiegłem na zewnątrz. Nie oglądałem się za siebie: bałem się ujrzeć formę, w którą świat ukształtował się i w której podążał przyczajony za moimi plecami. Leciałem w stronę domu. Wbiegłem do pokoju i trzasnąłem pięścią w ekran monitora. Poszarpało mi rękę, ale ból nie był już w stanie przebić się do świadomości. Zdołałem jeszcze włączyć kompakt i schwycić za książkę. Nie mogłem jednak czytać. Było za głośno.

To nie były basy „The Prodigy”. To ciężki, przerażający, szaleńczy, rozedrgany łomot.